

DLACZEGO NIE MOŻEMY NIE NAZYWAĆ SIĘ „CHRZEŚCIJANAMI”

Domaganie się, by nazywano nas chrześcijanami niesie z sobą pewne ryzyko podejrzeń o pobożne namaszczenie i hipokryzję, ponieważ nieraz już przybieranie tego miana służyło samozadowoleniu i ukrywaniu rzeczy zdecydowanie dalekich od ducha chrześcijańskiego, czego można by dowieść przez nawiązania, które tu pominiemy, aby nie popadać w opinie i spory, odbiegające od przedmiotu niniejszych rozważań. Chcemy jedynie potwierdzić w ich drodze, odwołując się do historii, że nie możemy nie uznawać się za chrześcijan i się nimi nie nazywać oraz że to określenie jest po prostu zgodne z prawdą.

Chrześcijaństwo było największą rewolucją, jakiej ludzkość kiedykolwiek dokonała: tak wielką, tak uniwersalną i głęboką, tak brzemionną w skutkach, tak nieoczekiwaną i nieodpartą, że nie dziwi, iż rewolucja ta była i jest postrzegana jako cud, objawienie siły wyższej, bezpośrednia interwencja Boga w sprawy ludzkie, za sprawą którego zyskały one nowe prawo i zupełnie nowy kierunek.

Wszystkie inne rewolucje, wszystkie wielkie odkrycia, które naznaczyły historię ludzkości – wydają się poślednie i ograniczone, nie dorównują chrześcijaństwu. Wszystkie inne, nie wyłączając tych, których dokonała Grecja w obszarze poezji, sztuki, filozofii, wolności politycznej, a Rzym w prawie, nie wspominając o najbardziej odległych rewolucjach w dziedzinie matematyki, astronomii, medycyny oraz o wszystkim, co zawdzięczamy Wschodowi i Egiptowi. Nie można nawet myśleć o kolejnych rewolucjach i odkryciach, dokonujących się w epoce nowożytnej, które – choć nie tak poślednie i ograniczone jak ich antyczne poprzedniczki – ogarniają całość człowieka i jego duszę, bez rewolucji chrześcijańskiej; pozostają

bowiem w stosunku zależności od niej i jej oddają prym, gdyż to właśnie chrześcijaństwo było i jest dla nich pierwotnym bodźcem.

Wynika to stąd, że rewolucja chrześcijańska dokonała się w samym środku ludzkiej duszy, w świadomości moralnej i podkreślając bezpośrednio i osobistość takiej świadomości, jak się niemal wydaje, uzyskala nową wartość, nową duchową jakość, której dotąd człowieczeństwu brakowało. Ludzie, geniusze i herosi żyjący w epoce przedchrześcijańskiej, podejmowali się niezwykłych czynów, przepięknych dzieł i przekazali nam pokaźny skarbiec form, myśli i doświadczeń; jednakże w tym wszystkim odczuwalny jest brak tego elementu, który nas zespala i jednoczy, a który jedynie chrześcijaństwo dało życiu człowieka.

I chociaż nie był to cud, który zakłócił bieg dziejów i wrósł w nie jako siła transcendentna i obca, nie było też innym, metafizycznym cudem to, co stworzyli niektórzy filozofowie (przede wszystkim Hegel), kiedy zaczęli postrzegać historię jako długotrwały proces, w trakcie którego duch wyzwala elementy go tworzące, jeden po drugim, oraz swoje kategorie – w pewnym momencie także poznanie naukowe lub państwo czy wolność, a wraz z nadejściem chrześcijaństwa, wewnętrzne poczucie moralności, ponieważ duch jest zawsze pełnią samego siebie, a jego historię stanowią jego własne twory, ciągle i nieskończone, poprzez które przejawia on swoją wieczną naturę. I tak, ani starożytni Grecy, ani Rzymianie, ani ludzie Wschodu, którzy nazywani są jednoznacznie twórcami, nie dali światu tych uniwersalnych form, ale dzięki nim tworzyli tylko dzieła i dokonywali czynów, za sprawą których sięgnęli szczytów dotychczas niezdobytych i dokonali niezwykłego przełomu w dziejach ludzkości; w ten sposób także rewolucja chrześcijańska była procesem historycznym, który wpisuje się w ogólny bieg dziejów jako najbardziej niezwykły z przełomów. Pewne zwiastuny i oznaki chrześcijaństwa były wcześniej znane, jak to ma miejsce w odniesieniu do każdej działalności człowieka – czy to w przypadku poezji czy aktywności politycznej; jednak światło, które owe wytwory zdają się przekazywać, jest światłem odbitym, pochodzącym od dzieła, które powstało później. Nie mogły zawierać go w sobie, ponieważ żadne dzieło nie

rodzi się z połączenia lub zestawienia z innymi, lecz zawsze i wyłącznie w drodze jedyne go w swoim rodzaju aktu twórczego, tym samym żadne dzieło nie istnieje w dziełach je poprzedzających.

Wraz z pojawieniem się chrześcijaństwa obudziła się świadomość moralna, która narodziła się w mękach i w radości, ale też z pasją i pełną wiary, w poczuciu wiecznego zagrożenia grzechem i z siłą, która nieustannie się mu przeciwstawia i zawsze go przewycięża; świadomość to pokorna i wyniosła, która w pokorze odnajduje wywyższenie, a błogość w służbie Panu. I trwa nietknięta i czysta, nie ulega pokusom, które ją od niej samej odciągały i przeciwstawiły ją samej sobie; jest ostrożna wobec ocen, pochwał czy społecznego splendoru; swoje prawo wywodzi jedynie z wewnętrznego głosu, nie zaś z rozkazów czy obcych zaleceń, które to okazują się niewystarczające wobec węzła, który czasem trzeba rozwiązać, dla osiągnięcia moralnego celu; i które to rozkazy i zalecenia wszyscy, w taki czy inny sposób, zepchnęli na niziny zmysłowości i użyteczności. A jej uczucie pochodzi z miłości – miłości do każdego człowieka, bez względu na pochodzenie etniczne czy status społeczny i kierowane jest do ludzi wolnych i niewolników, do każdego stworzenia, do świata, który jest dziełem Boga, a Bóg jest Bogiem miłości; i ta miłość nie odcina się od człowieka, ale zwraca się ku niemu, i w niej wszyscy trwamy, żyjemy i poruszamy się.

Z tego doświadczenia, które było jednocześnie uczuciem, czynem i myślą, wyrasta pewna nowa wizja i nowa interpretacja rzeczywistości; nie poszukuje się już jej w przedmiocie oderwanym od podmiotu i ustawionym w jego miejscu, lecz w tym, który jest wiecznym stwórcą rzeczy i jedyną zasadą wyjaśniającą; i ustanowiono pojęcie ducha, a sam Bóg nie był już pojmowany jako uniwersalny i abstrakcyjny byt, obojętny i bezczynny, lecz postrzegany jako jedność i różnorodność zarazem, jako życie i źródło wszelkiego życia, jako jedyny i trójosobowy.

Ta nowa postawa moralna i to nowe pojęcie okazały się częściowo obleczone w mity – Królestwo Boże, powstanie z martwych, chrzest, by się nań przygotować, pokuta i odkupienie, które zdejmują grzechy z powołanych do Królestwa, łaska i predestynacja itd.

przeszły mozolnie od bardziej skomplikowanych mitów do innych, bardziej wyrafinowanych i polegających na prawdzie; przenikały do myśli nie zawsze harmonijnych i natykały na przeciwieństwa, przed którymi zatrzymywały się niepewnie i bezradnie; jednak nie przestały być w swojej istocie takimi, jakie je pokrótce przedstawiliśmy, i jakie rozbrzmiewają echem w każdym, kto nazywa się „chrześcijaninem”. Nowe działanie, nowe pojęcie, nowe dzieło poetyckie nie jest i nie może zostać poczęte, jeśli kształtuje się w abstrakcji czy zbiorowej wyobraźni, jako coś obiektywnie zamkniętego i ograniczonego, lecz musi się rodzić jako siła, która toruje sobie drogę pośród innych sił i która czasami grzęźnie, innym razem błądzi, czy też posuwa się naprzód, wolno i mozolnie, albo zostaje tam, gdzie uciskają ją inne siły, których nie jest w stanie w tym momencie pokonać, podporządkować sobie i wchłonąć, ale podnosi się z porażek i wzmocniona wychodzi z nich zwycięsko. A ten, kto chce zrozumieć jej prawdziwą naturę, musi poznać ją tych obcych naleciałości, przezwyciężyć historyczne zaszłości, postrzegać ją nie w kategoriach ciężaru i zastoju, w jej aporiach i sprzecznościach, błędach i bezdrożach, lecz w jej pierwszym porywie i w jej dominującym napięciu, gdyż ona jest tak jak dzieło poetyckie, o walorach którego stanowi to, co w nim jest poezją, a nie co poezją nie jest, co je zanieczyszcza lub jedynie mu towarzyszy, tak jak skazy obecne nawet u Horacego czy Dantego. Można się sprzeciwiać, w poczuciu nieufności i twardej polemiki, że w ten sposób dochodzi do „idealizacji” doktryn i faktów, która dokonuje się w oderwaniu od ich konkretnej rzeczywistości; jakkolwiek to ich „idealizowanie” (bez przyznania oka na elementy przypadkowe i obce, jak też bez negocjowania ich) to nic innego jak „inteligencja”, która ją rozumie. Jeśli przyjmiemy przypuszczalnie założenie przeciwne, będziemy musieli postawić na tej samej płaszczyźnie logos i mit, pewność i niepewność myślenia; i wówczas z konieczności dojdziemy do wniosku, że to dzieło nie było prawdziwie dziełem, ale jakąś jego imitacją, pełną sprzeczności, wad i po brzegi wypełnioną błędami. Ochoczo wykorzystują to krytycy i historycy, którzy – jak się wydaje – z radością doszukują się w tych faktach, myślach i wielkich dziełach przeszłości chaosu umysłowego i bezwładu moralnego, który je toczy.

Także naturalne i niezbędne było tymczasowe zahamowanie procesu kształtowania się prawdy, który chrześcijaństwo tak niezwykle zintensyfikowało i przyspieszyło. Rewolucja chrześcijańska zyskała chwilę wytchnienia (wytchnienia, które chronologicznie liczone jest w wiekach) i znalazła się w stabilnym położeniu. I także tu pojawiły się zarzuty i ubolewanie (tak jak i dzisiaj) nad upadkiem z wysokości, na której chrześcijański entuzjazm się poruszał, a skamienienie, upraktycznienie oraz upolitycznienie myśli religijnej, wreszcie zatrzymanie jej biegu i skostnienie miały doprowadzić do jej śmierci. Jednakże spór o tworzenie i funkcjonowanie Kościoła czy Kościołów jest tak samo mało racjonalny, jak mało racjonalny byłby spór o uniwersytety i inne szkoły, które utrwalają naukę – w końcu przecież krytyczną i samokrytyczną – w katechizmach i podręcznikach; czerpie się ją z nich dla celów praktycznych, czy też traktuje jako tworzywo nowego postępu naukowego dla celów badawczych lub eksperymentalnych. Nie można wyeliminować z życia duchowego tego etapu, w którym dochodzi do zamknięcia myślowego procesu poszukiwania wiary, a otwiera się proces działania praktycznego, w którym dochodzi do jej zaszczepienia. I jeśli to zamknięcie z jednej strony wydaje się, i w pewnym sensie jest, śmiercią (bądź byłoby eutanazją, dobrą śmiercią) prawdy, ponieważ prawda autentyczna formuje się jedynie w procesie własnego stworzenia; z drugiej strony pozwala ono zachować prawdę dla jej nowego życia i odnowy tego procesu, tak jak ziarno zasiane w ziemi, które wykiełkuje i wyda nowe owoce. W ten sposób chrześcijański Kościół katolicki ukształtował swoje dogmaty, nie lękając się formułować czasem to, co niewyobrażalne, co nie zostało w pełni wchłonięte przez myśl scalającą; tak oto stworzył swój kult, system sakramentów, hierarchię, dyscyplinę, własny majątek ziemski, ekonomię, finanse, prawo, sądownictwo, i powiązane z nimi orzecznictwo. Badał ponadto potrzeby i dopasowywał się do roszczeń, których nie był zdolny zaspokoić czy wygasić, ale też nie chciał pozostawić ich bez kontroli. Korzyścią było jego działanie w zwyciężeniu pogańskiego politeizmu i nowych przeciwników ze Wschodu (skąd pochodził sam Kościół), zwłaszcza tych szczególnie niebezpiecznych jak

gnostycy czy manichejczycy, którzy zdradzali wiele cech jego własnej fizjonomii; te ostatnie pomogły rozpadającemu się Cesarstwu Rzymskiemu w tworzeniu nowych fundamentów duchowych, a po upadku Cesarstwa, tak jak cała starożytna kultura, w przejęciu jego tradycji. Był to długi okres chwały nazwany średniowieczem (z pozoru przypadkowym podziałem historycznym i przypadkowo nadaną nazwą, ale faktycznie wywodzącą się z intuicji prawdy), w czasie trwania którego dokonały się chrystianizacja, romanizacja oraz ucywilizowanie Germanów i innych barbarzyńców, powstrzymano powtórne zagrożenie spowodowane przez stare-nowe herezje: dualistyczne, pesymistyczne i ascetyczne, akosmiczne i negujące życie, i nie tylko obroniono Europę przed zagrażającym jej islamem, ale także zwrócono się ku potrzebom moralności i religii, które wzięły górę nad polityką i nagięły ją do siebie, dzięki czemu zyskały prawo do panowania nad całym światem, jakkolwiek prawo to byłoby wypaczane i łamane.

Niemniej istotne są inne częste oskarżenia kierowane pod adresem Kościoła katolickiego o szerzącą się w nim korupcję, na pojawienie się której sam przyzwolił; ale każda instytucja nosi w sobie jarzmo korupcji, gdyż pewne jej frakcje uzurpują sobie prawo do kontrolowania wszystkiego, a miejsce racji moralnych zajmują racje prywatne i utylitarne. Każda instytucja cierpi w praktyce tak samo na tę przypadłość i nieustannie usiłuje ją pokonać i powrócić do zdrowia. Przytrafiało się to także rozmaitym wyznaniom ewangelickim i protestanckim, nawet jeśli w mniej skandalicznym czy nikczemnym wymiarze niż pierwotnemu Kościołowi katolickiemu, ale mimo wszystko i one skarżyły się na zepsucie. Jak wiadomo, Kościół katolicki jeszcze w czasach średniowiecza wielokrotnie potajemnie reformował się za sprawą swoich wyznawców, rozpalając – dla osiągnięcia swoich celów – ogień poza swoimi murami. Następnie, narażony na ryzyko zatracenia się, po części z winy papieży, kleru i zakonników, a także z powodu ogólnej zmiany sytuacji politycznej, przez którą utracił dawne przywództwo z czasów średniowiecza i przytępił swoją duchową armię i, wreszcie, poprzez nowe myślenie krytyczne, filozoficzne i naukowe, przez które jego

nauczanie stało się przestarzałe – to wszystko doprowadziło do tego, że znajdujący się wówczas w obliczu zagrożenia Kościół dokonał kolejnej reformy, roztropnie i dyplomatycznie, zachowując w sobie tyle politycznej mądrości, ile był zdolny zachować i trwając w swoim dziele, które przyniosło wielkie triumfy na ziemiach odkrytych naówczas w Nowym Świecie. Żadna instytucja nie umiera z powodu przypadkowych i powierzchownych błędów, ale wtedy gdy przestaje zaspokajać potrzeby lub gdy pomniejsza swoją liczebność i obniża jakość zaspokojenia tychże potrzeb. I taka byłaby szacunkowo aktualna sytuacja Kościoła katolickiego, ale jest to kwestia wychodząca poza rozważania, które tutaj przedstawiamy.

Powróćmy do punktu rozważań, w którym je przerwaliśmy, by dostarczyć wspomnianych wyżej wyjaśnień na temat prawdy należnej chrześcijaństwu i jego powiązaniom z Kościołem bądź Kościołami, i nowo poznanej potrzebie procesu twórczego i rozwijającego myśl chrześcijańską, które powinno by się krótko podsumować (jak czyni się to przecież, uznając za dopuszczalne tłumaczenie – dla jasności – wielkich rzeczy prostymi słowami, podczas gdy to, co zapisane w książkach, wysyła się wydawcy i odbiorcom, przeciwstawiając się obłudowi nieustannego doskonalenia się. Pozostaje nam jednak jeszcze odtworzyć ten proces, obejrzeć go od nowa i przenieść gdzieś indziej czy gdzieś wyżej. To, o czym rozmyślaliśmy, nigdy nie przestało być przedmiotem rozważań: fakt nigdy nie jest suchym faktem, nie może cierpieć na bezpłodność, gdyż jest wiecznie ciężarny, posługując się mottem Leibniza, *gross de l'avenir* (brzemienny przyszłością). Geniusze bezgranicznych czynów, Jezus, Paweł z Tarsu, autor czwartej Ewangelii, i inni, którzy z nimi licznie współpracowali w pierwszym wieku chrześcijaństwa, zdawali się poprzez własny przykład (jako że żarliwi i prawdziwy był ich znój myśli i życia) pytać, czy nauka przez nich głoszona nie jest jedynie źródłem tryskającym, którego wody zanoszą nas do wieczności, nie tylko winoroślą, której szczepy przynoszą owoce, lecz nieprzerwanym, żywym i plastycznym dziełem, które zapanowało nad biegiem historii i zaspokoiło nowe oczekiwania i zarazem przyniosło nowe pytania, których wcześniej nie słyszano i nie stawiano, i które narodziły się dopiero

potem. Kontynuacja tego procesu, będąca jednocześnie jego przekształcaniem i spotęgowaniem, nie może dokonać się bez lepszego określenia, poprawienia i modyfikacji pojęć pierwotnych i dodania do nich pojęć nowych oraz dokonania ich systematyzacji. Dlatego nie może być ona powtórzeniem ani równoległym komentarzem, krótko mówiąc, pracą epigońską (jaką była na ogół w średniowieczu z wyjątkiem przypadkowych wysiłków i rzadkich przeblysków twórczych), lecz genialną i kongenialną twórczością; możliwa jest więc praca u podstaw polegająca na faktycznej kontynuacji religijnego dzieła chrześcijaństwa, wychodzącego od swoich pierwotnych idei i zespalającego je z treściami polemicznymi i dalszymi poszukiwaniami, które doprowadziły do znaczącego postępu w myśli i w sferze życiowej. Toteż za prawdziwych kontynuatorów religijnych dzieł chrześcijaństwa należy uznać, mimo pewnych antychrześcijańskich pozorów, ludzi doby humanizmu i odrodzenia, którzy cenili wartość poezji, sztuki, polityki i życia doczesnego, przyznając im pełne prawo wbrew nadprzyrodzonej i ascetycznej orientacji średniowiecza, a także, pod pewnymi względami, ludzi Reformacji – w tej mierze, w jakiej rozszerzyli uniwersalne znaczenie doktryn Pawłowych, oddzielając je od partykularnych odniesień, od nadziei i oczekiwań jego czasów; byli nimi twórcy fizyczno-matematycznej nauki o naturze, która to, odkryta na nowo, wytyczyła nieznane dotychczas drogi rozwoju cywilizacji; byli nimi głosiciele religii naturalnej, prawa naturalnego i tolerancji, wizjonerzy późniejszych koncepcji liberalnych i rozumu triumfującego, którzy dokonali reformy życia społecznego i politycznego, oczyszczając je z tego, co pozostało w nim ze średniowiecznego feudalizmu i przywilejów kleru, rozpraszając gęste mroki przesądów i uprzedzeń, na nowo rozniecając entuzjazm dla dobra i prawdy, dla odnowionego ducha chrześcijaństwa i humanizmu. Tuż za nimi kroczyli praktycy rewolucji, którzy rozszerzyli obszar swoich działań z Francji na całą Europę; następnie filozofowie, którzy nadali chrześcijańską i spekulatywną formę idei Ducha (zastępującego w chrześcijaństwie starożytny obiektywizm). Byli to Vico, Kant, Fichte i Hegel, którzy wprost bądź pośrednio przyczynili się do powstania koncepcji rzeczywistości jako historii,

aby przezwyciężyć radykalizm encyklopedystów i zastąpić go teorią rozwoju, jak i abstrakcyjny libertarianizm jakobinów – liberalizmem zinstytucjonalizowanym, a ich abstrakcyjny kosmopolityzm – poszanowaniem suwerenności i wolności wszystkich cywilizacji i ludów, czy, jak były one nazywane, narodów; oraz ci wszyscy, których Kościół rzymski, dbający (jak mogłoby być inaczej) o ochronę swojej instytucji i o dogmaty sformułowane w czasie soboru trydenckiego, musiał ich w konsekwencji odrzucić i potępić, jako że w dobie nowożytnej nie był w stanie przeciwstawić się nauce, kulturze i współczesnej cywilizacji, stworzonej przez świeckich, mimo swojej własnej i prężnej nauki, kultury i cywilizacji. Kościół musiał i nadal musi odrzucać ze zgrozą, niczym bluźnierstwo, wszystkich wyżej wymienionych, którym przysługuje miano chrześcijan, pracowników winnicy Pana, przez których wysiłek, poświęcenie i krew wydała owoce prawda Jezusa, objawiona i rozwinięta przez pierwszych myślicieli chrześcijańskich, ale nie inaczej niż każde inne dzieło myśli będące zawsze próbą, szkicem, które wymaga ciągłych uzupełnień. Nie może też pod żadnym pozorem przychylić się do tego, że istnieją chrześcijanie poza Kościołem, niemniej prawdziwi niż ci, którzy znajdują się w jego centrum, a o tyle bardziej chrześcijańscy, bo wolni. Ale my – którzy nie piszemy ani dla pochwały, ani w niechęci wobec ludzi Kościoła, i którzy rozumiemy, zgodnie z interesem przynależnym prawdzie, logikę ich pozycji intelektualnej i moralnej, i reguły ich zachowania – przyznajemy im to miano, gdyż jak dowodzi historia, jest ono uprawnione i niezbędne.

Znaczącym potwierdzeniem tej historycznej interpretacji jest fakt, że bezustanny i gwałtowny spór antykościelny, ciągnący się przez stulecia nowożytności, zawsze zatrzymywał się i milkł z szacunkiem na wspomnienie postaci Chrystusa, czując, iż obraza go byłaby obrazą samego siebie, racji własnych ideałów, serdeczności istoty. Nawet jakiś poeta, który – dzięki *licentia poetica*, którą poetom się przyznaje – by wyrazić w symbolach i metaforach swoje ideały i ich przeciwieństwa, w zależności od miotających nim namiętności, dostrzegł w Jezusie – w Jezusie, który kocha i głosi szczęście – kontestatora radości i głosiciela smutku; i tenże poeta ostatecznie

wyparł się swoich słów, jak zdarzyło się to Goethemu i Carducciemu. Wrażenia i fantazje poetów były także wyrazem tęsknoty za pogodnym, starożytnym pogaństwem, zwykle kwestionowanym przez przeciwne im wrażenia i wyobrażenia tych samych, przez których wcześniej zostały przywołane. Beztroska wesołość i figlarność, które wydawały się niewinne w odniesieniu do jakichkolwiek faktów czy postaci historycznych i literackich, nie zdawały się niewinne i nie były nigdy dozwolone wobec osoby Jezusa, którego nigdy nie można było pokazywać na deskach teatru, chyba że w naiwnej formie średniowiecznych wyobrażeń sakralnych i ludowych, wobec których Kościół był pobłażliwy lub sam je promował. Potwierdzenie tego można odnaleźć w postawach i symbolice o chrześcijańskim zabarwieniu, w które często przebierały się ruchy polityczne i społeczne ery nowożytnej, także te wyraźnie antykościelne, tak więc można było mówić o „królestwie niebieskim”, które osiemnastowieczni racjoniści, stronnicy Woltera, wybudowali w „rajskim ogrodzie”, przeniesionym przez nich do starożytnego Rzymu czy do arkadyjskiej szczęśliwości „Rozumu” i „Natury”, które zajmowały miejsce Biblii i Kościoła itp.; a współczesne rewolucje odwołują się do swoich „odkrywców”, odsyłają do swoich „apostołów” i gloryfikują swoich „męczenników”.

Pomimo że cała przeszłość uobecnia się w nas, gdyż jesteśmy dziećmi całej historii, to przecież etyka i religia starożytności zostały przejęte i wchłonięte przez chrześcijańską ideę sumienia i świadomości etycznej, przez nową ideę Boga, w którym trwamy, żyjemy i poruszamy się, a który nie może być ani Zeusem, ani Jahwe – Bogiem Izraela, ani nawet germańskim Wodanem (pomimo czci składanej mu do dzisiaj); i dlatego właśnie w naszym życiu moralnym i intelektualnym czujemy się bezpośrednio dziećmi chrześcijaństwa. Nikt nie może przewidzieć, czy jakieś inne objawienie czy jakaś inna religia, dorównująca bądź lepsza niż ta, którą Hegel definiował jako „religię absolutu”, nie objawi się rodzajowi ludzkiemu w przyszłości, której nawet najmniejszy przebłysk jest teraz niedostrzegalny; okazuje się jednak, że w naszej teraźniejszości nie wychodzimy poza ramy pojęciowe wytyczone przez chrześcijaństwo i że, niczym

pierwsi chrześcijanie, męczymy się pośród odradzających się bezustannie gorzkich i okrutnych kontrastów między immanencją a transcendencją, między moralnością sumienia a moralnością nakazów i praw, między etyką a utylitaryzmem, między wolnością a władzą, między światem niebiańskim a ziemskim, które są w człowieku i dzięki połączeniu ich w tę bądź inną całościową formę ogarnia nas radość i spokój wewnętrzny, a z uświadomienia sobie tego, że nie można ich nigdy całkowicie połączyć, rodzi się szlachetne męstwo wiecznego wojownika i nieustrudzonego robotnika, któremu, z pokolenia na pokolenie, dane będzie oglądać jedynie tworzywo jego pracy, czyli własnego życia. A zachowanie, rozniesienie na nowo i podtrzymywanie uczuć chrześcijańskich jest naszym obowiązkiem – obowiązkiem twardym i surowym, okupionym bólem i nadzieją. I Bóg chrześcijański jest wciąż naszym Bogiem, a nasze dojrzewające filozofie nazywają go Duchem, który wiecznie się umacnia i jest w nas; i, jeśli nie wysławiamy go jako tajemnicy, to dlatego, że wiemy, że zawsze był tajemnicą w oczach logiki abstrakcyjnej i intelektualnej, niezasłużenie postrzeganej i czczonej jako „ludzka logika”, ale przejrzysta prawda znajduje się w punkcie widzenia logiki konkretnej, która mogłaby nazywać się „logiką boską”, jeśli rozumieć ją w sensie chrześcijańskim jako tę, do której człowiek stale aspiruje, i która, nieustannie jednocząc go z Bogiem, czyni go naprawdę człowiekiem.

Benedetto Croce

„La Critica. Rivista di letteratura,
storia e filosofia diretta da B. Croce”, 20.11.1942